


JÓZEF CZECHOWICZ

POEMAT
O MIEŚCIE
LUBLINIE



OSRODEK
DRAMA
GRODZKA



TEATR NN

2009

Poemat o mieście Lublinie

OSRODEK
DRAMA GRODZKA — TEATR NN
WOJEWÓDZKI OSRODEK KULTURY

OŚRODEK BRAMA GRODZKA
w LUBLINIE



**JÓZEFA
CZECHOWICZA**



JÓZEF CZECHOWICZ

POEMAT
O MIEŚCIE
LUBLINIE



106 urodziny Poety

15 marca 1903 — 15 marca 2009

OŚRODEK
„BRAMA GRODZKA — TEATR NN”
WOJEWÓDZKI OŚRODEK KULTURY

Na wieży furgotał blaszany kogucik
na drugiej — zegar nucił.
Mur fal i chmur popękał
w złote okienka:
gwiazdy, lampy.

Lublin nad łką przysiadł.
Sam był —
i cisza.

Dokoła
pagórów koła,
dymiąca czarnoziemiu połać.

Mgły nad sadami czarnemi.
Znad łki mgły.
Zamknęły się oczy ziemi
powiekami z mgły.

We mgle nie słycać kroków, które zbliżają
wędrowca ku miastu rodzinnemu. Ścieżyny pol-
ne pęcznią, nabrzmiwiają w drogi, a te znów
rozlewają się szeroko wśród falistych pól.
Szosa się toczy. Zrywający się wiatr szumi
w kłosach. Północ niedaleko, a jeszcze ktoś
wodę ze studni ciągnie. Żuraw słycać. Jesz-
cze wiejsko tu. Jeszcze wiejsko. Księżyc goni
wśród chmur. Mgła rzednie. Wędrowcze, oto
już kręte uliczki starego przedmieścia, Wie-
niawy. Dawniej, gdy winnice opinały te wzgó-
rza, nazywano je: Winiawa. Idąc dziś mię-
dzy cieniami ruder i zapadłych w ziemię do-
mostw myślisz, wędrowcze, o tym tylko, że
miasto kochane już cię ogarnia i tuli.

W mgłę nie słychać kroków, które zbliżają
wędrowca ku miastu rozbitego. Ścisły pol-
ne poczeka, nabrzmięwa w drogi, a te znów
rozlewa się starożytność wśród falających pol-
Szono się łaczą. Zrywający się wiatr szumi
w kłosać. Północ nieboła, a jeszcze ktoś
woda ze studni cieknie. Żuraw słychać. Jesz-
cze wiejsko tu. Jeszcze wiejsko. Księżyc goni
wśród chmur. Mgła rzadnie. Wędrowca, oto
już kręte uliczki starożytności, przedmieście, Wie-
niawy. Dawnie, gdy winnice opinały te wzgó-
rza, nazywano je: Winiawa. Idąc dół mi-
dzy cieniemi tuler i zapadłych w ziemię do-
mostw myśli, wędrowca, o tym tylko, że
miasto kochane już się ogarnia i tuli.

Ciemniej.

**Pagóry, zagaje, podłęża
nie sypią się wiankami na oczy.**

Ciemniej.

**Z nieb czeluści otwartej na ścieżaj
biegną ciche niedźwiedzie nocy.**

Nad ulicami, rzędem,

czarne, kosmate,

będą się tarzać po domach do chwili,

gdy księżyc wybuchnie zza chmur, jak krater.

Świat ku światłu przechyli.

Blachy dachów dudnią bębniem.

W dół, w górę, nierówno się kładzie

perłowy lampas:

w prostopadłej gromadzie

przedmieścia lampy.

Przeciw niedźwiedzim to mało!

Gną się, kucają domki, zajazdy, bożnice

pod mroku cichego łapą.

Ach! Trzasnęłyby niskie pułapy!...

...ale już zajaśniało.

Pejzaż: Winiawa z księżycem.

Wędrowcze, masz towarzysza. Księżyc w pełni,
srebrny, daleki pójdzie odtąd za twoimi kro-
kami. Powiedzie cię do miasta umarłych, gdzie
twoi bliscy leżą pod głazami i darnią. Osreb-
rzy ci stare kamienice w rynku, widma ukaże
w kościele na Zamku, wreszcie znowu cię w po-
la wywiedzie przez ulicę Szeroką, przez Ka-
linowszczyznę i Czwartek.

To jest księżyc, towarzysz. Niech sobie poeci
mówią: tarcza, gołąb srebrny, korab nadzie-
mski. Dla ciebie to jest po prostu księżyc. Może
nawet księżyc z Twardowskim, może ze Świę-
tym Jerzym. Bo przecież świecił taki sam nad
ulicą, gdy matka opowiadała ośmioletniemu:
Święty Jerzy tam ze smokiem walczy. Bo prze-
cież to tu było w tym mieście, do którego wra-
casz, jak syn marnotrawny.

Wiatr, znowu wiatr się podrywa. Obaj, on i księ-
życ, ku cmentarzowi idą. Do ojców. A wiatr
głosy jakieś przynosi od wieżyc miasta.

Zegary, twarze nocy niewesołe,
hasło podają: pół — noc, pół — noc...

Dołem

place konopne, lniane,
ulice — długie mroku czółna,
lamp łańcuchami splecione.

U krańca Lublina czworokąt czarny
szumem poematów wiatrów skanduje.
Klony, brzeziny, kasztany, tuje
obsiadły wyspę umarłych.

Aleje głuche mamrocą nocą, jak rynny.
Blask białej gwiazdy samotnej opiera się
o cień,
o bluszcz, żałobny barwinek,
paprocie.

Krzyże z marmuru, anioły brązowe srogo
stanęły na piersiach trumien.

Pieje kogut.

Napisy z bramy cmentarza w pamięci za-
karbuj, zatnij: „Oto teraz w prochu zasnę —
z prochu wstanę w dzień ostatni”...

Napojony smutkiem, zamyślony i o świecie niewiedzący idzie wędrowiec miastem. A ono głucho. W głównej ulicy tu i ówdzie rozmowa spóźnionych przechodniów, tu i ówdzie brama zamykana trzaśnie.

Kroki jego spadają na kamienny bruk, mechaniczne, nieważne. A przecież idzie wśród dobrze mu znanych murów. W blasku latarni wzrok zadumanego mógłby odczytywać napisy na sklepach. W tym, narożnym, kupiono mu trąbkę dziecinną, gdy był maleńki. Przy tamtym zęgnął się z matką i siostrą, wyruszając na front. A oto i dom, w którym przeżył chwile najłagodniejsze. Na drugim piętrze okno jest otwarte. Ktoś na pianinie gra.

A teraz ciemność. To nie księżyc skrył się w obłokach. To ogarnął cię, wędrowcze, mrok Bramy Krakowskiej. Zbudź się, zbudź, patrz dokoła! Za chwilę wejdiesz na rynek.

**Kamienie, kamienice,
ściany ciemne, pochyłe.
Księżyc po stromym dachu toczy się, jest nisko.
Zaczekaj. Zaczekajmy chwilę —
jak perła
upadnie w rynku miskę —
miska zabrząknie.**

**W płowej nocy,
po kątach nisz głębokich
po bram futrynach i okien
załamany,
bez mocy,
cień fiołkowy uklęknie.**

**Gwiazdy żółte, które lipcowy żar ściągł,
lecą — kurzawą — lecą,
firmament w złote smugi marszczą,
za Trybunałem
na ślepych szybach świecą
cichym wystrzałem.**

**Noc letnia czeka cierpliwie,
czy księżyc spłynie, zabrząknie,
czy zejdzie ulicą Grodzką w dół.
On się srebrliwie rozptywa
w rosie porannej, w zapachu ziół.
Jak pięknie!**

No, do ranka jeszcze daleko, choć w lipcu
świty są tak wczesne. Możesz jeszcze długo
tu stać i chłonąć nocne uroki.

Rynek. Tu dom Acerna, tu kamienica Sobie-
skich. A ot i narożnik ze lwami z kamienia.
Tu chodziłeś do szkoły. Pamiętasz, bo jakże
by nie pamiętać! Toż to tu właśnie, a nie gdzie
indziej przeżyłeś pierwszą chwilę poezji, wie-
czorem słuchając starego miasta.

Zamięń wspomnienie w wiersz. Same pojęcia:
wspomnienie i poezja są sobie bardzo bliskie.

Oto wiersz:

Niebo odmienia się, choć wieczór nie ścichł,
wiatr jeszcze szepce, nim uśnie.

Niebo fioletem szeleści.

Wiatr — już nie wiatr — uśmiech.

Z ulicy Dominikańskiej śpiew chóru,
dziewczęta chwałą Marię.

Z Archidiakońskiej do wtóru
samotnych skrzypiec arie.

Domów muzyczne milczenie
złączone z tęczy łukiem
na czoło kościoła promieniem
opada, jak pukiel.

A teraz ktoś ciszę napiął,
bije w nią pięścią ze spiżu.

Dzwon wieczorny

mocą metalu kapiąc

zaczyna grać pod kościelnym krzyżem:

raz — i dwa — i trzy — — —

Wędrowcze, nic tylko księżyc i domy, wiatr
i kościoły, gwiazdy i doły ulic. Idziesz, idziesz,
jeszcze jedną mijasz bramę, pnieś się w górę
zaułkami podzamcza, stajesz przed niskim
łukiem. Łuk jest w kratkach, a nad nim błyszczą
liktorskie różgi i topory. Minąłeś kraty, dzie-
dzińce zamkowe, przeszedłeś u stóp baszty
księcia Daniela.

Jesteś w zamkowej kaplicy. Klęknij. Skarbiec
to i serce Lublina, miasta Jagiellońskiego.

W kościoła oknie na płask
błysnął wodą stojącą księżycą blask.

W ciemnym wnętrzu jest smuga białawego
szkliwa.

Nie wiadomo jak taka barwa się nazywa.
Chodzi, chodzi w ciemnościach
ruchomy światła korytarz,
jakby noc palcem srebrnym wodziła niebieska
po gotyckich łuków smukłości,
po freskach.

Dziecko tak palcem wodzi po książce, gdy
czyta...

Tu skały malowane są tronem Dziewicy,
gdzie indziej zaś podwójny Chrystus
ciemnolicy
w dwa kielichy odmierza wino.

Święci z pustelni, Mario surowa,
kwiaty kapiące z wnęk, odrzwi, nisz,
archaniele pancerzem jasny — o czym
w promieniu śniesz?
Jakie apokalipsy śnią się smokom, orłom?

Żadna trąba nie woła.

Księżyc palce swe cofa w mroku kościoła.

Za szybą migoce Orion.

Były czary i dziwy. Minęły, zrobiło się codzien-
nie, powszednio. Tylko ten księżyc...

Chyba czas już na ciebie. Trzeba zejść ulicą
Zamkową w mrok zaułków, potem wynurzyć
się z ciemności na ulicy Szerokiej, która napraw-
dę jest szeroka. A stąd, przez uśpione przed-
mieście, nogi same poniosą cię, nocny wędrow-
cze, w daleki świat. Porzucisz mury dobrze ci
znane z czasów, gdyś biegał tu za drewnia-
nym kółeczkiem, z czasów, gdy zachwycony-
mi oczyma patrzyłeś na tłumne procesje Bo-
żego Ciała, gdy każda noc wigilijna była bar-
dziej srebrna niż w bajkach.

A teraz?

Ludzi tamtych już nie ma, ni czasu tamtego.
Ale, wędrowcze, cień towarzyszy ci, jak za-
wsze i noc jest ulana ze srebra poświaty.
Opuśćże to miasto z pogodą w sercu, tak, jak
je witałeś.

Chorągiewka na dachu śpiewa,
bladej gwiazdy wypęta pajak.
Latarnie w czarnych drzewach,
kołuszących się mrugają.

Ciepła woń płynie z piekarń,
a cisza z zamkniętych bram.
Gdyby pies na dalekim przedmieściu nie
szczękał,
byłbyś — jak nigdy — sam.

Sam, może jeszcze z rzeczułką,
której nie słychać,
choć w taką jasną noc z lazuru
i ona — niebios kochanka —
od zmierzchu aż do ranka
na pewno wzdycha
wśród murów...

Chodźcie na dach siewa,
blada gwiazda wypada pająk,
latarnie w ciemnych drzewach,
korytarze się mrują.

Ciepło wód płynię z gwiazd,
a cicho z zamkniętych bram.
Gdyby pies na dalekim przedmieściu nie
szczękał,

byłby — jak nigdy — sam.
Sam, może jeszcze z resztką,
której nie słychać,
choć w toki jęczy noc z latarni
i ona — siebie kochanka —
od zmiortchnięcia aż do końca
na prawo wzięła
wśród murów...

Dobranoc miasto stare, dobranoc. Drogi białe
wychodzą stąd na północ, zwięzają się w ście-
żyny, ścieżyny rozlewają się w drobne strużki
steczek. Wędrowiec jest już tylko ciemnym
punkikiem na jednej z nich.

Zniknął za wzgórzem.

Dobranoc, miasto,
dobranoc...

Składał ręcznie

pismem paneuropa i nicolas cochin

Tadeusz Budynkiewicz

Drukował na maszynie typograficznej

F. M. Weiler z 1903 roku

Paweł Głodzik

Zaprojektował i zredagował technicznie

Wiesław Kaczkowski

Korekta

Anna Kistelska

ISBN 978-83-89464-31-6

Wydawcy

Ośrodek Brama Grodzka Teatr NN

Centrum Kultury w Lublinie

Oficyna Wydawnicza

Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Lublinie

Druk

Oficyna Wydawnicza WOK

Dla uczczenia
106. rocznicy urodzin
Józefa Czechowicza
wydrukowano 106 tomików
ręcznie numerowanych

Numer
100



